Laura Bellini

Pokój z widokiem na ciebie



Romans, w którym przyciąganie ma konsekwencje



Pokój z widokiem na ciebie

Romans, w którym przyciąganie ma konsekwencje

Laura Bellini

ROMANS

ISBN: 9788384900451

ALL-IN Rafał Płonkowski

SPIS TREŚCI

INTRO 4
Rozdział 1 - Droga, której nie było 11
Rozdział 2 - Zasady bliskości 21
Rozdział 3 - To, czego nie widać na zdjęciach 32
Rozdział 4 - Rzeczy, których nie można zatrzymać 41
Rozdział 5 - Prawo do odmowy 52
Rozdział 6 - Odległość jednego oddechu 61
Rozdział 7 - Między obietnicą a prawdą 71
Rozdział 8 - Muzyka, której nie da się zaplanować 80
Rozdział 9 - Wszystko, czego nie przewidzieliśmy 91
Rozdział 10 - Pokój z widokiem na ciebie 101
Rozdział 11 - Poranek bez scenariusza 110
Rozdział 12 - Cena pięknych obrazów 120
Rozdział 13 - Granica uczciwości 130
Rozdział 14 - Prawda, która nie wystarcza 140
Rozdział 15 - Umowa, o której nie wiedziałam 150
Rozdział 16 - Odległość, którą wybrałam 161
Rozdział 17 - To, co wybieram ocalić 171
Rozdział 18 - Księgi otwarte na stole 180
Rozdział 19 - Wszystko, co zostaje po prawdzie 191
Rozdział 20 - Widok, który wybraliśmy 201

INTRO

Pierwsze zdjęcie zrobiłam, zanim zdjęłam płaszcz. Przez wysokie okno na końcu korytarza zobaczyłam ośnieżony grzbiet Karkonoszy, ciemne świerki i wąską drogę, która znikała między drzewami. Światło miało ten szczególny, zimowy odcień, kiedy biel przestaje być biała, a zaczyna przypominać rozcieńczone srebro. Uniosłam aparat i nacisnęłam spust migawki. Dopiero potem zauważyłam odbicie własnej twarzy w szybie. Wyglądałam na bardziej zmęczoną, niż chciałam przyznać, ale też na kogoś, kto wreszcie wiedział, dokąd zmierza. Miałam dwadzieścia dziewięć lat, własną firmę fotograficzną i bardzo konkretny plan na następne dwadzieścia cztery godziny. Żaden z jego punktów nie przewidywał mężczyzny, który miał za chwilę stanąć w drzwiach.

Hotel pachniał drewnem, świeżo mieloną kawą i czymś słodkim, zapewne ciastem wyjętym niedawno z piekarnika. Nie przypominał luksusowych miejsc, które fotografowałam dla katalogów wnętrzarskich. Tu podłoga skrzypiała, poręcz schodów była wygładzona tysiącami dotknięć, a na parapetach stały ceramiczne donice, każda trochę inna. W salonie kominek obłożono jasnym kamieniem, zaś przed nim ustawiono dwie głębokie kanapy. Wszystko wyglądało tak, jakby ktoś urządzał ten dom przez lata, zamiast zamawiać jego charakter z katalogu.

Właśnie dlatego przyjęłam zlecenie.

- Pani Maja Lis? - odezwała się kobieta zza recepcji. Miała siwe włosy związane w luźny kok i okulary zawieszone na łańcuszku. - Jestem Zofia. Pan Filip uprzedzał, że przyjedzie pani przed południem.

- Chciałam wykorzystać światło. Po piętnastej będzie go coraz mniej.

- Dzisiaj może zabraknąć wcześniej. Zapowiadają porządną śnieżycę.

Spojrzałam na telefon. Prognoza rzeczywiście nie wyglądała zachęcająco, ale podobne ostrzeżenia widziałam przez całą drogę z Wrocławia. Pracowałam w górach wystarczająco często, żeby wiedzieć, jak szybko zmienia się pogoda. Jednocześnie nie zamierzałam pozwolić, żeby kilka centymetrów śniegu zrujnowało starannie przygotowany harmonogram.

O osiemnastej sześć miałam pociąg z Jeleniej Góry. Następnego ranka, punktualnie o dziewiątej trzydzieści, czekało mnie we Wrocławiu spotkanie z redaktorką magazynu, dla którego od miesięcy przygotowywałam autorski projekt fotograficzny. Nie były to kolejne zdjęcia pięknych mieszkań. Chciałam opowiedzieć o ludziach, którzy odbudowywali miejsca skazane przez innych na zapomnienie. Projekt nosił roboczy tytuł „Ludzie, którzy zostają". Miał być pierwszą rzeczą, pod którą podpiszę się bez nazwiska agencji, bez kreatywnego nadzoru klienta i bez czyjegoś przekonania, że wie lepiej, co powinnam pokazać.

- Proszę się nie martwić - powiedziałam, chowając telefon. - Potrzebuję najwyżej czterech godzin.

Zofia uśmiechnęła się z wyrozumiałością.

- W takim razie pokażę pani pokoje, zanim pan Filip wróci z kotłowni.

Ruszyłam za nią po schodach. Na półpiętrze minęłyśmy fotografię przedstawiającą hotel wiele lat wcześniej. Budynek miał wtedy ciemną elewację, mniejsze okna i

ogromny szyld z nazwą „Pod Świerkami”. Zatrzymałam się na chwilę, próbując odnaleźć w obecnym wnętrzu ślady tamtego miejsca.

- Długo trwał remont? - zapytałam.

- Dłużej, niż powinien. Filip chciał wszystko zrobić porządnie. - Kobieta poprawiła okulary. - Nie zawsze można mieć jednocześnie czas, pieniądze i dobre pomysły.

Powiedziała to lekko, ale ostatnie zdanie zabrzmiało inaczej. Jakby znała jego ciężar z własnego doświadczenia.

Pokój numer siedem znajdował się na końcu korytarza. Miał szerokie łóżko z grafitową narzutą, niski fotel obity tkaniną w kolorze rdzy i ogromne okno, przez które widać było dolinę. Na niewielkim biurku stała lampa z bursztynowym kloszem. Kiedy ją zapaliłam, ciepłe światło rozlało się po ścianie, wydobywając nierówności tynku.

- Pięknie - powiedziałam, tym razem bez zawodowej kalkulacji.

- Ten pokój Filip urządzał sam. Uparł się, żeby nie wymieniać starego okna na nowe.

Podeszłam bliżej. Drewniana rama została starannie odrestaurowana, ale przy dolnym zawiasie zobaczyłam drobne pęknięcie lakieru. Nie przeszkadzało mi. Właśnie takie szczegóły sprawiały, że miejsce miało własną historię.

- Będzie dobrze wyglądać na zdjęciach - stwierdziłam.

- Oby nie tylko na zdjęciach - odpowiedziała Zofia.

Zanim zdążyłam zapytać, co miała na myśli, z dołu dobiegł odgłos zamykanych drzwi. Kobieta zerknęła na zegarek.

- Filip wrócił. Powiem mu, gdzie pani jest.

Zostałam sama.

Rozłożyłam statyw i wyjęłam aparat z torby. Przez kilka minut przesuwałam fotel, sprawdzałam kąt padania światła i zastanawiałam się, czy zostawić na biurku niewielką szklaną karafkę. Nie lubiłam fotografii, które obiecywały więcej, niż miejsce mogło zaoferować. Dobry kadr powinien wydobywać prawdę, a nie ukrywać ją pod warstwą starannie dobranych dekoracji.

Byłam pochylona nad ekranem aparatu, kiedy usłyszałam pukanie.

- Proszę - odpowiedziałam, nie podnosząc głowy.

- Jeśli przesunie pani ten fotel jeszcze o dziesięć centymetrów, zasłoni pani jedyne gniazdko w pokoju.

Odwróciłam się.

W drzwiach stał mężczyzna w ciemnym swetrze z podwiniętymi rękawami. Miał szerokie ramiona, krótkie, lekko potargane włosy i kilkudniowy zarost. W jednej dłoni trzymał skrzynkę z narzędziami. Jego twarz nie miała nic ze starannie wypolerowanego wizerunku właściciela hotelu. Wyglądał raczej na człowieka, który potrafił naprawić przeciekający kran, a potem usiąść z gośćmi przy jednym stole.

Najbardziej zaskoczyło mnie jednak jego spojrzenie. Uważne, spokojne, pozbawione zwykłego zawodowego pośpiechu.

- A jeśli przesunę go o piętnaście? - zapytałam.

Kącik jego ust drgnął.

- Wtedy będę musiał zamontować drugie gniazdko.

- Doceniam elastyczność obsługi.

- Filip Orski - przedstawił się, odstawiając skrzynkę. - Właściciel, konserwator i chwilowo człowiek od wszystkiego.

- Maja Lis. Fotografka, która zwykle sama decyduje, gdzie stają fotele.

- Czyli już mamy wspólną cechę.

- Jaką?

- Oboje nie lubimy, kiedy ktoś przestawia nam rzeczy.

Nie odpowiedziałam od razu. Nie dlatego, że zabrakło mi słów. Zwyczajnie spodobało mi się, że nie próbował imponować stanowiskiem ani zasypywać mnie komplementami. Patrzył na pokój tak samo uważnie jak ja, dostrzegając szczegóły, które dla innych były nieważne.

Filip podszedł do okna i sprawdził zamek. Musiał przyciągnąć skrzydło mocniej, żeby mechanizm zaskoczył. Stałam na tyle blisko, żeby poczuć chłód wpadający przez chwilę do środka i delikatny zapach drewna na jego swetrze.

- Rama trochę pracuje przy dużym mrozie - wyjaśnił. - Nie chciałem jej wymieniać. Jest tu od początku.

- Rozumiem dlaczego.

Spojrzał na mnie, jakby rzeczywiście chciał usłyszeć odpowiedź.

- Dlaczego?

- Bo gdyby pan ją wymienił, pokój nadal byłby ładny. Tylko nie miałby już tego samego widoku.

Przez moment milczał. Potem zerknął na aparat, a następnie ponownie na mnie.

- Pani fotografuje również to, czego nie widać?

- Staram się nie usuwać tego, co sprawia, że coś jest prawdziwe.

Uśmiechnął się, ale tym razem w jego wyrazie twarzy pojawiło się coś poważniejszego.

- To może być trudniejsze, niż się pani wydaje.

Z korytarza dobiegł dźwięk telefonu. Filip zerknął na ekran urządzenia, które wyjął z kieszeni. Zobaczyłam jedynie, że przez chwilę wahał się, czy odebrać. Ostatecznie wyciszył połączenie.

- Muszę sprawdzić jeszcze instalację na dole - powiedział. - Gdyby czegoś pani potrzebowała, proszę powiedzieć Zofii.

- Potrzebuję przede wszystkim dobrego światła i przejezdnej drogi do Jeleniej Góry.

Podszedł do drzwi, ale zatrzymał się na moje ostatnie słowa.

- Z tym drugim może być problem.

W tej samej chwili za oknem wiatr poderwał śnieg z parapetu. Dolina, jeszcze niedawno wyraźna, zaczęła znikać za gęstą zasłoną bieli. Telefon zawibrował mi w kieszeni. Na ekranie pojawiło się ostrzeżenie pogodowe.

Filip przeczytał coś z mojej twarzy, zanim zdążyłam cokolwiek powiedzieć.

- Sprawdzę drogę i wrócę z konkretną informacją - obiecał. - Nie chcę pani straszyć na zapas.

Skinęłam głową. Nie próbował podejmować decyzji za mnie, co niespodziewanie przyniosło mi ulgę.

Kiedy wyszedł, przez dłuższą chwilę stałam przy oknie, obserwując śnieg. W szybie odbijała się bursztynowa lampa,

pusty fotel i miejsce, w którym przed chwilą stał Filip. Miałam gotowy harmonogram, bilet i spotkanie, na którym zależało mi bardziej niż na jakimkolwiek wcześniejszym zleceniu.

A jednak, gdy z korytarza dobiegły jego oddalające się kroki, pomyślałam o czymś, czego nie zaplanowałam.

Jeżeli będę musiała zostać tu na noc, czy zdołam dopuścić do siebie kogoś, kto już po kilku minutach sprawił, że tak trudno było mi zachować bezpieczny dystans?

Rozdział 1 - Droga, której nie było

O trzynastej czterdzieści siedem wiedziałam już, że mój idealny plan zaczyna przypominać kiepski żart. Telefon pokazywał kolejne ostrzeżenie pogodowe, internet działał z przerwami, a za oknem pokoju numer siedem śnieg padał tak gęsto, że ledwo widziałam świerki rosnące kilkanaście metrów od budynku. Nie zamierzałam jednak rezygnować z pracy. W ciągu ostatniej godziny sfotografowałam sypialnię, łazienkę i fragment korytarza, a także przygotowałam trzy warianty kadru z widokiem na dolinę. Do wykonania pozostały salon, restauracja, apartament na piętrze i ujęcia elewacji. Najbardziej zależało mi na tych ostatnich. Bez nich cała sesja straciłaby kontekst, a hotel mógłby równie dobrze znajdować się w Beskidach albo pod Warszawą.

Właśnie składałam statyw, kiedy Filip wrócił. Tym razem nie zapukał od razu. Usłyszałam jego kroki i krótką rozmowę telefoniczną prowadzoną przyciszonym głosem. Nie rozróżniałam słów, jedynie ton człowieka, który usiłował zachować spokój pomimo coraz gorszych wiadomości. Po chwili rozległo się pukanie. Otworzyłam, zanim zdążył powtórzyć gest. Stał z telefonem w ręku, a jego twarz była poważniejsza niż podczas naszego pierwszego spotkania.

- Droga w dół jest chwilowo nieprzejezdna - oznajmił.

- Chwilowo, czyli ile?

- Nie wiadomo. Pług próbuje odśnieżyć odcinek przy zakręcie, ale wiatr zasypuje go niemal natychmiast. Policja odradza zjazdy.

- Mam pociąg o osiemnastej sześć.

- W takim razie niech pani sprawdzi, czy można przełożyć bilet.

Przez moment patrzyłam na niego, pewna, że się przesłyszałam.

- Naprawdę uważa pan, że to takie proste?

- Nie. Uważam, że prostsze niż sprowadzanie kogoś z pobocza.

Zamknęłam torbę od aparatu nieco mocniej, niż było to konieczne. Jego odpowiedź miała sens, lecz sposób, w jaki ją wypowiedział, zabrzmiał jak decyzja podjęta za mnie. A tego nie znosiłam. Przez ostatnie cztery lata budowałam swoją firmę właśnie po to, żeby nikt nie układał mi życia według własnego kalendarza. Wiedziałam, że śnieżyca nie jest winą Filipa, ale nie oznaczało to, że musiałam przyjmować jego polecenia z wdzięcznością.

- Nie zamierzam jechać w ciemno. Chcę wiedzieć, jakie mam możliwości.

- To rozsądne.

- Cieszę się, że uzyskałam zgodę.

Uniósł brwi. Przez ułamek sekundy byłam przekonana, że odpowie równie ostro. Zamiast tego oparł się ramieniem o framugę.

- Pani Maju, nie musi pani uzyskiwać ode mnie zgody. Natomiast dopóki odpowiadam za ten budynek i ludzi, którzy w nim przebywają, nie będę udawał, że droga jest bezpieczna.

- A ja nie będę udawała, że moje zobowiązania przestały istnieć.

- Tego również nie oczekuję.

To było irytujące. Znacznie łatwiej kłóciło się z kimś, kto upierał się przy swoim wyłącznie dla zasady. Filip najwyraźniej potrafił odróżnić sprzeciw od ataku i nie potrzebował wygrać każdej wymiany zdań. Przesunął wzrokiem po rozstawionym sprzęcie, zatrzymując się na ekranie aparatu.

- Zdążyła pani zrobić to, co zaplanowała?

- Mniej więcej połowę.

- Jeśli pogoda się utrzyma, zewnętrzne zdjęcia będą musiały poczekać.

- Wiem. Chciałabym jeszcze obejrzeć restaurację, zanim zrobi się ciemno.

- Chodźmy. Tylko uprzedzam, że nie wszystko wygląda jeszcze tak, jak powinno.

Zeszliśmy na parter. W hotelu panowała cisza przerywana trzaskiem drewna w kominku i jednostajnym szumem instalacji grzewczej. Zofia rozmawiała przez telefon przy recepcji. Kiedy nas zobaczyła, uniosła dłoń w krótkim geście, a następnie wskazała na drzwi prowadzące do zaplecza. Filip skinął głową, jakby rozumiał bez słów. Zauważyłam tę wymianę spojrzeń. Było w niej coś więcej niż zwykłe porozumienie między pracodawcą a pracownicą.

Restauracja okazała się niewielką salą z widokiem na las. Przy oknach ustawiono stoliki z jasnego drewna, na półkach stały gliniane naczynia, a długą ścianę zdobiły stare fotografie karkonoskich schronisk. Największą uwagę przyciągał piec kaflowy w kolorze ciemnej zieleni. Podeszłam bliżej, dotknęłam chłodnej powierzchni i od razu wiedziałam, że musi znaleźć się w głównym kadrze. Tylko jeden element psuł całość: przez środek sali biegł

przedłużacz, a przy drzwiach piętrzyły się pudła z wyposażeniem.

- Można je usunąć? - zapytałam.

- Pudła tak. Przewodu nie ruszamy, dopóki elektryk nie skończy sprawdzania obwodu.

- Mogę ustawić aparat z drugiej strony.

- Wtedy nie będzie widać okien.

Spojrzałam na niego z zaskoczeniem.

- Zna pan się na kadrowaniu?

- Nie. Ale wiem, co chciałbym zobaczyć, gdybym miał tutaj przyjechać.

Podszedł do jednego ze stolików i przesunął krzesło.

- Chciałbym wiedzieć, że rano mogę usiąść właśnie tutaj, wypić kawę i przez pół godziny nie myśleć o niczym.

Przyjrzałam mu się uważniej. Powiedział to bez reklamowej przesady, niemal z tęsknotą. Zastanowiłam się, kiedy ostatnio sam pozwolił sobie na takie pół godziny. Na jego nadgarstku widniała niewielka smuga smaru, a pod oczami miał ślady niewyspania. Hotel wyglądał przytulnie, ale jego właściciel sprawiał wrażenie człowieka, który od dawna nie miał czasu z tej przytulności korzystać.

- W takim razie proszę usiąść - zaproponowałam.

- Teraz?

- Tak. Właśnie teraz.

- Myślałem, że fotografuje pani wnętrza, nie ludzi.

- Fotografuję to, co sprawia, że wnętrza mają sens.

Zawahał się, po czym usiadł. Nie pozował, co natychmiast zadziałało na jego korzyść. Oparł przedramiona na blacie i

spojrzał przez okno, za którym wiatr szarpał gałęziami świerków. Zrobiłam kilka zdjęć, następnie zmieniłam obiektyw i przesunęłam się bliżej pieca. Filip obserwował mnie z dyskretnym rozbawieniem.

- Mam się uśmiechać?

- Proszę nie robić niczego, czego normalnie pan nie robi.

- Normalnie siedzę tutaj z fakturami.

- W takim razie niech pan pomyśli o fakturach.

Roześmiał się. Nie był to uprzejmy, wyćwiczony śmiech gospodarza, lecz szczery dźwięk, który na chwilę zmienił całą jego twarz. Nacisnęłam spust migawki. Zdjęcie wyszło lepiej niż poprzednie, chociaż nie zamierzałam od razu mu tego mówić.

- Gotowe - oznajmiłam.

- Już?

- Nie każdy potrzebuje godziny, żeby dobrze wyglądać.

- Nie jestem pewien, czy to komplement.

- Proszę samemu zdecydować.

Odwróciłam aparat i pokazałam mu ekran. Pochylił się, a ja poczułam ciepło jego ramienia tuż obok swojego. Nie dotknął mnie, jednak odległość między nami nagle stała się czymś zauważalnym. Na zdjęciu wyglądał inaczej niż na żywo: spokojniej, niemal łagodnie. Długo przyglądał się fotografii, zanim oddałam aparat na bezpieczną odległość.

- To dobre zdjęcie - powiedział cicho. - Ale nie chciałbym, żeby znalazło się w materiałach reklamowych.

- Dlaczego?

- Hotel powinien być ważniejszy ode mnie.

- To pan jest jego właścicielem.

- Tym bardziej.

Nie naciskałam. Zapisałam ujęcie do osobnego folderu i wróciłam do pracy. Pół godziny później miałam gotową serię fotografii restauracji, choć część wymagała jeszcze poprawek po zakończeniu prac elektrycznych. Filip pomógł mi przenieść pudła na zaplecze, a następnie przyniósł niewielką lampkę, którą ustawiłam na jednym ze stolików. Ani razu nie próbował dyktować mi sposobu pracy. Kiedy prosiłam go o zmianę ustawienia przedmiotów, wykonywał polecenia bez komentarza. Zaczynałam rozumieć, że jego stanowczość nie wynikała z potrzeby dominacji. Raczej z przekonania, że pewnych rzeczy nie wolno pozostawiać przypadkowi.

Przed piętnastą telefon zadzwonił ponownie. Tym razem była to Iga, redaktorka, z którą miałam spotkać się następnego dnia. Wyszłam do korytarza, żeby spokojnie porozmawiać. Opowiedziałam jej o śnieżycy, zamkniętej drodze i problemach z transportem. W odpowiedzi usłyszałam chwilę milczenia.

- Maja, rozumiem sytuację. Ale jutro musimy podjąć decyzję o projekcie.

- Wiem. Przygotowałam prezentację i wybrane fotografie. Mogę połączyć się zdalnie.

- Jeśli będziesz miała stabilny internet, zrobimy to. Tylko potrzebuję pewności najpóźniej dziś wieczorem.

- Dostaniesz ją.

- I jeszcze jedno. Nie chcę kolejnego pięknego portfolio. Chcę zobaczyć, dlaczego te historie są dla ciebie ważne.

Po zakończeniu rozmowy przez chwilę patrzyłam na wygaszony ekran telefonu. Iga miała rację. Przez lata nauczyłam się fotografować wnętrza zgodnie z

oczekiwaniami klientów. Potrafiłam sprawić, że przeciętne mieszkanie wyglądało jak apartament z luksusowego magazynu. Coraz częściej jednak zastanawiałam się, czy właśnie po to kupiłam swój pierwszy aparat. Projekt „Ludzie, którzy zostają" miał być odpowiedzią, a jutrzejsze spotkanie mogło otworzyć mi drzwi do pracy, o której marzyłam od dawna.

Kiedy wróciłam do restauracji, Filip rozmawiał z Zofią. Na blacie leżała kartka z odręcznie zapisanymi numerami telefonów. Usłyszałam fragment rozmowy o dostawie, której nie udało się dowieźć, oraz o dwóch pracownikach czekających na wiadomość, czy nazajutrz mają przychodzić. Filip poprosił Zofię, żeby nie ryzykowali dojazdu, jeśli warunki się nie poprawią. Potem zadzwonił do kogoś i ustalił, że za opóźnienie nie będzie potrąceń z wynagrodzenia.

Czekałam, aż skończy.

- Nie wygląda to na spokojny dzień - zauważyłam.

- Bywały lepsze.

- Kiedy otwarcie?

- Za niecałe dwa tygodnie.

- A ile rzeczy zostało do zrobienia?

Popatrzył na mnie tak, jakby zastanawiał się, czy wolno odpowiedzieć szczerze.

- Wystarczająco dużo, żebym nie powinien teraz rozmawiać z fotografką.

- W takim razie proszę wracać do obowiązków.

- Niestety jeden z nich właśnie stoi przede mną.

Uśmiechnęłam się pomimo zmęczenia. Filip również się uśmiechnął, ale zaraz spoważniał.

- Mamy potwierdzenie. Droga pozostanie zamknięta przynajmniej do rana. Nie mogę obiecać, że jutro sytuacja będzie lepsza.

Wypuściłam powoli powietrze.

- Czyli jestem tutaj uwięziona.

- Jest pani bezpieczna. To niezupełnie to samo.

- Dla osoby, która ma jutro ważne spotkanie, różnica jest niewielka.

- Mogę udostępnić pani biuro z łączem kablowym. Jeśli potrzebuje pani wideokonferencji, powinno wystarczyć.

Spojrzałam na niego zaskoczona. Nie wiedziałam, że słyszał jakąkolwiek część mojej rozmowy, ale szybko zrozumiałam, że po prostu zobaczył moje zdenerwowanie i wyciągnął wnioski. Jego propozycja była konkretna, pozbawiona niepotrzebnego współczucia.

- To mogłoby pomóc - przyznałam. - Chciałabym wcześniej sprawdzić połączenie.

- Oczywiście. Ale najpierw musimy ustalić jeszcze jedną rzecz.

- Jaką?

- Nie chcę, żeby fotografowała pani nieukończone pomieszczenia tak, jakby były gotowe. Nie zamierzam obiecywać gościom czegoś, czego nie będą mogli dostać w dniu otwarcia.

- Nigdy nie proponowałam fałszowania rzeczywistości.

- Nie twierdzę, że pani to robi. Po prostu ostatnia agencja, z którą rozmawiałem, chciała wstawić na zdjęciach nieistniejący taras.

- W takim razie dobrze, że pan jej nie zatrudnił.

- Też tak myślę.

Przez chwilę staliśmy naprzeciwko siebie w pustej restauracji. Na zewnątrz wiatr uderzał śniegiem o szyby, a ja próbowałam zdecydować, czy powinnam być wdzięczna za jego pomoc, czy zirytowana kolejnym warunkiem. Ostatecznie wygrała zawodowa ciekawość.

- Wie pan, co jest najgorsze w fotografowaniu hoteli? - zapytałam.

- Zapewne właściciele.

- Niektórzy. Ale przede wszystkim to, że wszyscy chcą wyglądać idealnie. A idealne miejsca są strasznie nudne.

Filip przyjrzał mi się przez chwilę.

- W takim razie może dobrze, że trafiła pani właśnie tutaj.

Powiedział to spokojnie, lecz w jego spojrzeniu dostrzegłam coś, czego nie potrafiłam jeszcze nazwać. Nie był to zwyczajny flirt. Raczej zainteresowanie człowiekiem, który mógł zobaczyć więcej, niż zamierzał pokazać.

O szesnastej trzydzieści wysłałam Idze wiadomość z potwierdzeniem jutrzejszego połączenia. Filip zaprowadził mnie do niewielkiego biura za recepcją, gdzie sprawdziłam internet i pobrałam prezentację na komputer. Łącze działało bez zarzutu. Na biurku leżały segregatory, notatki i zamknięta teczka z logo firmy doradczej. Nie przyglądałam się jej bliżej. Byłam wystarczająco długo niezależną przedsiębiorczynią, żeby wiedzieć, ile spraw potrafi kryć się za pozornie spokojnym miejscem.

Kiedy wychodziliśmy, Filip zatrzymał się przy drzwiach.

- Pokój numer siedem jest do pani dyspozycji. Bez dodatkowej opłaty. To sytuacja, na którą nie ma pani wpływu.

- Pan również nie ma wpływu na pogodę.

- Za to mam wpływ na to, jak traktuję ludzi, którzy przeze mnie znaleźli się w środku śnieżycy.

Nie wiedziałam, co odpowiedzieć. W końcu tylko skinęłam głową.

Wieczorem, stojąc przy oknie swojego pokoju, zobaczyłam, jak Filip wychodzi na zewnątrz, żeby pomóc Zofii zamknąć ciężką okiennicę na parterze. Śnieg osiadał mu na włosach i ramionach. Przez chwilę rozmawiali, a potem mężczyzna objął starszą kobietę jednym ramieniem i odprowadził pod drzwi.

Odstawiłam kubek z herbatą i wróciłam do aparatu. Wśród wykonanych tego dnia zdjęć odnalazłam portret Filipa przy restauracyjnym oknie. Nie przeznaczyłam go do publikacji. Mimo to nie potrafiłam go usunąć.

Po raz pierwszy od bardzo dawna zastanawiałam się, czy człowiek, którego spotkałam przypadkiem, może zainteresować mnie bardziej niż miejsce, które przyjechałam fotografować.

Rozdział 2 - Zasady bliskości

O dziewiętnastej dwadzieścia odkryłam, że w hotelu można zgubić poczucie czasu równie łatwo jak zasięg telefonu. Za oknem panowała już całkowita ciemność. Jedynie lampy przy wejściu rozświetlały wirujące płatki śniegu, a z oddali dobiegał głuchy odgłos wiatru uderzającego w dach. Przez ostatnią godzinę przeglądałam fotografie i zaznaczałam te, które nadawały się do dalszej obróbki. Miałam też przygotowaną listę poprawek oraz plan zdjęć na wypadek, gdyby następnego dnia udało się wyjść na zewnątrz. Zamiast odpoczywać, sprawdzałam po raz trzeci prezentację dla Igi. Wreszcie zamknęłam komputer, zmęczona własną potrzebą kontrolowania wszystkiego.

Telefon zawibrował. Wiadomość od siostry zawierała zdjęcie jej kota, który rozłożył się na całym łóżku, i pytanie, czy wróciłam już do Wrocławia. Odpisałam, że utknęłam w górach przez śnieżycę. Nie minęła minuta, kiedy zadzwoniła.

- Powiedz mi, że przynajmniej jesteś w jakimś przyzwoitym miejscu - odezwała się Lena.

- W bardzo przyzwoitym. Z kominkiem, pięknymi pokojami i właścicielem, który ma opinię na każdy temat.

- Przystojnym?

Przewróciłam oczami, choć nie mogła tego zobaczyć.

- Nie zaczynaj.

- Czyli przystojnym.

- Lena, mam jutro spotkanie, od którego może zależeć moja zawodowa przyszłość.

- Wiem. Dlatego pytam o coś, co mogłoby cię odrobinę rozproszyć.

Zaśmiałam się cicho. Lena była ode mnie młodsza o trzy lata i od zawsze uważała, że traktuję życie jak kalendarz z obowiązkowymi terminami. Nie rozumiała, dlaczego tak bardzo zależy mi na samodzielności. A może rozumiała lepiej, niż chciałam przyznać. Była jedną z niewielu osób, które pamiętały, jak kończyła się moja praca w agencji fotograficznej: cudzym nazwiskiem pod moimi zdjęciami i propozycją przedłużenia współpracy, jeśli zgodzę się przestać upominać o własne pomysły.

- Zadzwonię jutro po spotkaniu - obiecałam.

- Dobrze. I Maja?

- Co?

- Nie musisz wszystkiego zasługiwać pracą.

Połączenie się zakończyło, zanim znalazłam odpowiedź. Przez chwilę siedziałam nieruchomo na brzegu łóżka, patrząc na aparat stojący na biurku. Potem narzuciłam sweter i zeszłam na dół. Potrzebowałam czegoś ciepłego do jedzenia, a przede wszystkim odrobiny dystansu do własnych myśli.

W restauracji paliło się tylko kilka lamp. Zofia układała talerze na wózku, a Filip stał przy piecu kaflowym i rozmawiał przez telefon. Kiedy weszłam, zakończył rozmowę i schował urządzenie do kieszeni. Nie wyglądał już tak oficjalnie jak podczas popołudniowej pracy. Zmienił sweter na granatową koszulę z rozpiętym górnym guzikiem. Nadal miał podwinięte rękawy. Zauważyłam, że robił to niemal odruchowo, jak człowiek przygotowany w każdej chwili do kolejnej naprawy.